

Bł. Ludwik Mzyk, SVD

Autor: Krzysztof Laskowski
27.07.2007.

O. Ludwik Mzyk pochodził a rodziny górniczej. Ojciec jego, również Ludwik, był sztygarem w kopalni "Prezydent" w Chorzowie. Matka, Franciszka z domu Hadasz, pochodziła z Bytkowa pod Katowicami. Ludwik był piątym dzieckiem spośród dziewięciorga rodzeństwa i urodził się 22 kwietnia 1905 r. Rodzina była szczerze religijna i praktykująca. Ludwik od młodych lat był ministrantem. Interesował się sprawami religii i Kościoła. Podczas misji parafialnych, które głosił misjonarz z Nysy, poczuł powołanie misjonarskie. Wyjawiał tę chęć rodzicom, którzy jednak odnieśli się do niej krytycznie. Poparli go dalsi krewni i potem, już razem z rodzicami, starano się o umieszczenie chłopca w Niższym Seminarium Misjonarzy Werbistów u Św. Krzyża w Nysie.

O. Ludwik Mzyk pochodził a rodziny górniczej. Ojciec jego, również Ludwik, był sztygarem w kopalni "Prezydent" w Chorzowie. Matka, Franciszka z domu Hadasz, pochodziła z Bytkowa pod Katowicami. Ludwik był piątym dzieckiem spośród dziewięciorga rodzeństwa i urodził się 22 kwietnia 1905 r. Rodzina była szczerze religijna i praktykująca. Ludwik od młodych lat był ministrantem. Interesował się sprawami religii i Kościoła.

Podczas misji parafialnych, które głosił misjonarz z Nysy, poczuł powołanie misjonarskie. Wyjawiał tę chęć rodzicom, którzy jednak odnieśli się do niej krytycznie. Poparli go dalsi krewni i potem, już razem z rodzicami, starano się o umieszczenie chłopca w Niższym Seminarium Misjonarzy Werbistów u Św. Krzyża w Nysie.

Całą sprawę poparł bardzo mu życzliwy ks. prob. Namysło. W Nysie znalazł się 13 września 1918 r. i tam też otrzymał maturę w 1926 r. Podczas wakacji, Ludwik pracował z bratem pod ziemią w kopalni, aby pomóc matce po śmierci ojca. Zapisał się też do związku "Kwikborn", którego członkowie dobrowolnie wyrzekli się napojów alkoholowych i palenia papierosów. Do końca życia był tym przyrzeczeniom wierny. Z Nysy, po krótkich wakacjach, pojechał do St. Augustin w Niemczech, aby odbyć nowicjat i przygotować się do złożenia ślubów zakonnych, co nastąpiło w 1928 r.

Pod koniec studiów w 1926 r., za przykładem o. Grignon de Montfort, oddał się całkowicie Najświętszej Maryi Pannie, a dokument podpisał własną krwią. Po skończeniu studiów filozoficznych przełożeni wysłali go na studia teologiczne do Rzymu, mając na uwadze jego zdolności i inne zalety. W tym czasie otrzymał święcenia kapłańskie w Rzymie, w uroczystość Chrystusa Króla 30 października 1932 r. Mszę św. prymicyjną odprawił w uroczystość Wszystkich Świętych, w kaplicy Domu Generalnego w Rzymie.

Studia uwieńczył obroną pracy doktorskiej z teologii, 5 lutego 1935 r. na Pontificia Universitas Gregoriana. Czekać na dyplom, pojechał do klasztoru St. Gabriel w Austrii, gdzie przez kilka miesięcy pomagał magistrowi nowicjuszy jako jego socjusz i równocześnie uczył się trudnej sztuki prowadzenia nowicjatu. Latem 1935 r. przyjechał do Chłudowa pod Poznaniem, gdzie werbiści w nabytym od Romana Dmowskiego pałacu otwierali swój pierwszy w Polsce nowicjat. O. Ludwik został magistrem nowicjuszy, ucząc się zarazem literackiego języka polskiego.

Opinie nowicjuszy były i są jednoznaczne: mieliśmy świętego magistra. Braki w doświadczeniu starał się uzupełniać niezwykłą pokorą, uprzejmością i pracowitością. Świetlana postać O. Magistra była uosobieniem zdrowej ascezy zakonnej... był dość surowy dla innych ale jeszcze surowszy dla siebie. Kroczył świadomie i konsekwentnie do świętości kapłana i misjonarza. Należał do ludzi, którzy promieniają na otoczenie i pozostawiają ślad swojej obecności... w Seminarium był nie tylko naszym przełożonym, ale i wzorem.

Pozostały w pamięci jego głęboko ujęte konferencje, pozostały także na piśmie, niestety w stenografii, dziś już nieznanej. Do pokoju O. Magistra wchodziłi nowicjusze bez strachu, ale z jakąś wielką czcią i uszanowaniem dla niego. Zawsze zapraszał do wejścia jego łagodny głos: "Ave!". W jego ustach nie było to zwykłe zaproszenie, ale pozdrowienie Niepokalanej i wchodzącego. Widocznie dobrze wywiązywał się z powierzonego sobie zadania, skoro w 1939 r. otrzymał nominację na rektora nowicjatu.

Po wybuchu wojny żegnał prawie wszystkich domowników podlegających ewakuacji na wschód Polski. On sam domu nie opuścił. Po kilku tygodniach z radością witał powracających, a jego spokój działał optymistycznie na młodych domowników. Warunki pierwszych dni okupacji były jeszcze prawie normalne. Niemcy rzadko zaglądali do klasztoru. Jednak na skutek złowrogich wieści o wysiedlaniu i aresztowaniach, naradzano się, czy kleryków nie rozesać do domów rodzinnych, ale były już trudności z

przemeldowaniem. O. Ludwik różnymi sposobami starał się rozwiązać przyszłość nowicjuszy. Pertraktował z werbistami w Austrii i w Niemczech, z Generalatem w Rzymie o przyjęcie jego podopiecznych.

Proponował nawet, aby przenieść nowicjów do Domu w Bruczkowie, gdzie na dużym gospodarstwie rolnym można by pracować na utrzymanie i tak przetrwać. Wstrzymano jednak wszystkim wyjazdy. Coraz częściej stwierdzał, że wychowany i wykształcony w Austrii i w Niemczech, nie znał jednak Niemców w roli okupantów. W bezpośrednim zetknięciu się z wojskiem i z gestapo przegrał. Nie wiedział, że rozmawiając z żołnierzem rozmawia równocześnie z gestapowcem i niezręcznie wyrażenie, że woli pertraktować i więcej ufa żołnierzom niż gestapo, zadecydowało o jego przyszłym losie. Wykorzystano to jako pretekst, aby aresztować przełożonego 25 stycznia 1940 r.

Męczeństwo

W tym dniu, w samo południe, nadszedły samochody z gestapo i z aresztowanymi księżmi z okolic Poznania i Obornika Wlkp. Domowników zgromadzono w refektarzu, dołączono do nich przybyłych księży i w pewnym momencie w drzwiach ukazał się o. Ludwik blady, ale spokojny i powiedział: Ja muszę z nimi jechać. Mówią, że wrócę, tymczasem waszym przełożonym jest o. Chodźcie... chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ktoś szarpnął nim ordynarnie i już go więcej nie widziano.

Potem dowiedziano się od księdza, który później przyjechał, jak brutalnie obchodzono się z o. Mzykiem w czasie przymusowego ładowania pakunków na samochód w Poznaniu. Oświadczył on: Ten wasz magister to prawdziwy anioł. Jeszcze poprzedniego dnia o. Mzyk był w Poznaniu, gdzie chciał uzyskać pozwolenie na wyjazd kleryków do rodzin.

Niczego jednak nie osiągnął. Po zatrzymaniu, nie można się było dowiedzieć, co się z nim dzieje. Stale zapewniano, że wkrótce powróci, skoro wyjaśnią się pewne sprawy. Tak samo łudzono jego rodzinę, która mieszkając na Śląsku miała szansę osiągnięcia zwolnienia swego krewnego. Jego brat Wilhelm pisze: Nie pomogły żadne interwencje podjęte ze strony Kościoła i moich osobistych, i sióstr. Dwa razy przyniósł ktoś bieliznę. Była pokrwawiona a w niej ukryta mała karteczka z napisem: "Jeszcze żyję, jeśli możecie pomóc".

Krew towarzyszyła mu od dnia aresztowania, gdy w Domu Żołnierza (wtedy siedziba gestapo), zdarto z niego sutannę i strasznie go pobito. Była zima, a on został tylko w poszarpanej koszuli i spodniach. Współwięzień pamięta, że gdy wprowadzano go do celi w VII Forcie w Poznaniu, jeden z więźniów użyczył mu kurtki, którą zostawił stracony więzień. O jego śmierci klasztor dowiedział się dopiero po kilku tygodniach. Nawet przysłany przez O. Generała, dla ratowania Domu i współbraci, o. Wigge, niczego się nie dowiedział, ale odniósł wrażenie, że o. Mzyk już nie żyje. Wszystkie wiadomości o męczeńskiej śmierci o. Mzyka pochodzą od naocznych świadków z Fortu VII w Poznaniu, gdzie razem z nim przebywali ks. Sylwester Marciniak oraz ks. Franciszek Olejniczak. Ten pierwszy tak pisze: O. Mzyka spotkałem w celi 60. w Forcie VII w Poznaniu dnia 1 lutego 1940 r.

Razem z nim było jeszcze 28 więźniów, głównie studenci. Wszyscy odczuwali wielki głód... Do celi wpadali, nierzadko tak za dnia jak i nocą strażnicy i z błahych powodów albo bez żadnego powodu bili więźniów ... O. Mzyk wypełniał wszystkie polecenia bardzo skrupulatnie, ostrzegał przed wszystkim, czym można by "podpaść" i stale, jak to łatwo było zauważyć, modlił się... W Popielec, 7 lutego zgromadzono wszystkich księży w małej celi 69, blisko wschodniej bramy... Porządek dnia był taki sam, jak w innych celach... ale strażnicy starali się nam więcej dokuczyć... ulubionym tematem ks. Olejniczaka były: postać Chrystusa i działalność Ducha Świętego.

Gdy chodzi o drugie zagadnienie, znajdował zawsze ożywionego rozmówcę w O. Mzyku... Ulubionym również tematem O. Mzyka była odpowiednia dla młodzieży lektura... Władze obozowe interesowały się szczególnie O. Mzykiem. Któregoś dnia wszedł do celi komendant obozu z innym oficerem. Każdego po kolei pytali o nazwisko i "przestępstwo". Przy O. Mzyku zatrzymał się i powiedział: "Ach tak, to jest ten twardy nasz przeciwnik". Po wyjściu oficerów wyjaśnił nam O. Mzyk, że dawał "mocne" odpowiedzi w czasie aresztowania i w śledztwie.. pewnego dnia wywołał O. Mzyka z celi strażnik obozowy Hoffmann i strasznie go pobił na korytarzu...

Dwudziestego lutego po południu wpadł do naszej celi podoficer Dibus - zdaje się, że był to zastępca komendanta - z jakimś szoferem, obydwaj byli pijani, strasznie się awanturowali. Szczególnie jednak bili po twarzy O. Mzyka, a zwłaszcza ów szofer na polecenie Dibusa. Ów dzień 20 lutego miał być również ostatnim dniem O. Mzyka. W nocy owego dnia około godz. 22.00 usłyszeliśmy śpiew Ukraińców. To zły znak ... zwykle zaczynali od celi Ukraińców. Kazali im tylko śpiewać ... odwiedzali poszczególne cele,

bijąc, kopiając więźniów, strzelając przez dziurkę od klucza... potem już w bliższych celach niesamowite krzyki, jęki, wreszcie w celi sąsiedniej brzęk misek, łyżek, śpiew "Kto się w opiekę" (oczywiście na rozkaz) i strzały. Za krótką chwilę doszły do nas słowa: "Jetzt zu den Pfaffen". Otworzyli drzwi, nie weszli jednak do celi, lecz kazali nam wszystkim wyjść na korytarz z wyjątkiem ks. Olejniczaka. Było ich kilku z Dibusem na czele. Był między nimi i Hoffmann.

Staliśmy w skarpetkach i ubraniach (bo tak zawsze spaliśmy) na głównym korytarzu naprzeciw naszej celi. Dibus zatrzymał ks. Gałkę. O. Mzyka i mnie, reszcie kazał odejść... kazano nam biec bocznym korytarzem. Gdyśmy biegli obok siebie, O. Mzyk poprosił mnie o rozgrzeszenie. Gdy dobiegliśmy do końca korytarza, z ks. Gałką zatrzymaliśmy się przed schodami prowadzącymi na wyższe piętro, natomiast O. Mzyk zaczął wchodzić na stopnie. Wtem rozległ się za nami krzyk strażników, kazano nam stać na miejscu, O. Mzyka ściągnięto ze schodów i zaczęli go bić "za to, że chciał zbiec". W tej chwili zrobiło się wielkie zamieszanie, z którego trudno zdać sobie sprawę. Pamiętam jednak dokładnie, że ks. Gałka jak i O. Mzyk bardzo krzyczeli i jęczeli. Jakkolwiek nie byłem w tej chwili przy nich, miałem wrażenie, że strasznie ich bito i znęcano się nad nimi. Moje mniemanie potwierdził wygląd ks. Gałki, który był poraniony, posiniony, pokrwawiony, miał podarte spodnie i koszulę.

Bicie O. Mzyka i ks. Gałki trwało długo, chociaż trudno określić czy 15 minut, czy pół godziny. W międzyczasie znalazłem się na głównym korytarzu obok naszej celi, a więc blisko zewnętrznej bramy wschodniej. Do tej oto bramy przyprowadził Dibus. O. Mzyka. Gdy przechodzili obok mnie, musiałem się odwrócić, a więc nie mogłem zobaczyć, jak wyglądał. Kazał stanąć mu przy bramie, a sam cofnął się do podoficera, który wówczas rozmawiał ze mną, pożyczył od niego naboje, a następnie przybliżył się do O. Mzyka i strzelił w głowę z tyłu. Gdy już upadł, strzelił po raz drugi... Ks. Gałce i mnie pozwolono odejść do celi... Za jakieś pół godziny słyszeliśmy, jak zabierano zwłoki O. Mzyka. Po śmierci śp. O. Mzyka mieliśmy przez kilka dni w celi spokój. Mówił nam również jeden z więźniów, sprzątający w komendzie, że widział tam pismo ministra sprawiedliwości, zabraniające bić duchownych.

Niewidomy ks. Olejniczak, który tylko wszystko słyszał, dodał jeszcze jeden szczegół: Dibus wybierając sobie upatrzone ofiary, bił je po twarzy, kopał bez opamiętania... Przy takim inspekcyjnym napadzie został także okrutnie zbity wasz śp. ks. Ludwik. Pragnąc wówczas okrutnie skatowanego brata kapłana oderwać od wewnętrznego udręczenia, zbliżyłem się do niego bełkocąc jakieś słowa pociechy, na co otrzymałem znamienne słowa: "Nie może być uczeń nad Mistrza" Wówczas pochyliłem się przed nim i poprosiłem go o błogosławieństwo, którego mi też chętnie udzielił..."

Współbracia, którzy ocaleli z obozów, napisali: Nieodżałowaną jednak pamięcią cieszy się O. Magister u swoich wychowanków-kleryków. Na skałach Westerplatty, w kamieniołomach Gusen, był umiłowanym tematem naszych rozmów. Jego braliśmy na świadka naszych ślubów zakonnych, składanych w obozie. Jego wzywaliśmy na czele litanii naszych pomordowanych w obozie współbraci, prosząc za jego pośrednictwem o pomoc z nieba w ciężkim życiu lagrowym. /Za <http://mirekw.chez.tiscali.fr> /